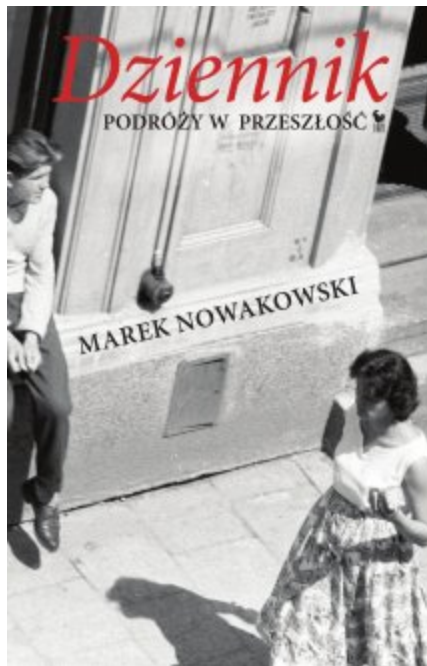


Dziennik podróży w przeszłość - Marek Nowakowski

Mieli coś z zagończyków, echo Dzikich Pól i Sienkiewicza. Katastrofiści, co w hulankach i alkoholu topili koniec świata. Przybysze z łagrów i łagrów. Optymiści i pesymiści. Romantycy i cynicy. Gorąca wiara i brak jakiegokolwiek wiary. To wszystko bombardowało nasze głowy. Jedni mówili o białym koniu Andersa i III światowej. Inni o reakcji, która strzela z za węgła, i zwycięskim sojuszu robotniczo-chłopskim.



Mieli coś z zagończyków, echo Dzikich Pól i

Sienkiewicza. Katastrofiści, co w hulankach i alkoholu topili koniec świata. Przybysze z łagrów i łagrów. Optymiści i pesymiści. Romantycy i cynicy. Gorąca wiara i brak jakiegokolwiek wiary. To wszystko

bombardowało nasze głowy. Jedni mówili o białym koniu Andersai III światowej. Inni o reakcji, która strzela zza węgła, i zwycięskim sojuszu robotniczo-chłopskim.

Marek Nowakowski

Dziennik podróży w przeszłość

rok wydania: 2014

wydawnictwo: Iskry

Byliśmy z małych, parterowych domków, z ceglanych kamienic, drewnianych pekinów, oblepionych komórkami na opał i gołębnikami. Z Włoch, Okęcia, Ożarowa, Piastowa, Woli, Annopola, Zacisza, Targówka, Rembertowa. Z wszystkich tych przedmieść i miasteczek wyruszaliśmy do Śródmieścia. To był nasz pępek świata. Nasz świat był mały, a wydawał się olbrzymi. Miasto, chłopcy i marzenia. Warszawa to był ocean gruzów z archipelagami ocalałych kamienic, budowli. Polonia, poczta na Nowogrodzkiej, prowizoryczny dworzec z zegarem w Alejach Jerozolimskich, wąwóz Marszałkowskiej w ruinach. To była nasza metropolia. Paryż, Manhattan. Magiczne oko fotoplastykonu. Piękne stolice świata i Tuaregowie na dromaderach w piaskach Sahary. Stąd rozchodziły się nasze drogi na dworce, bazyry i w inne równie pociągające strony. Byliśmy przedwojenni, jakiś bagaż dźwigaliśmy. Oswojeni ze śmiercią. Nieraz widzieliśmy wisielców, rozstrzelanych. Nawet zdarzało się zobaczyć, jak do tego dochodziło. Często słyszeliśmy strzały. Nasi i obcy do siebie strzelali. Jak na ekranie figurki w biegu. Niektóre padały. Wyrazisty widok krwi na śniegu. Chcieliśmy brać w tym udział. Ale byliśmy za młodzi. Mieliśmy tylko pudełka ołowianych żołnierzyków sprzed wojny. Handel wymienny. Jeszcze pozostawała pirotechnika. Pełno broni, amunicji. Pociski armatnie, taśmy nabojów do cekaemów, ładunki wybuchowe, trotyl, granaty o różnych kształtach, porzucona broń. Po naszych żołnierzach z 1939 roku. Po Niemcach. Pijani Ruscy chętnie sprzedawali.

– *Malczyk, bieri!*

Roześmiany czołgista podaje szczerą ręką magazynek od swojej pepeszy. Wyciągaliśmy z łusek armatnich proch, długie laseczki, czarne ziarno z karabinowych łusek. Fajerwerki, wybuchy. Jeden stracił oko,

drugiemu oderwało kawałek dłoni, trzeci... Zapamiętaliśmy dużo mundurów. W tym byliśmy biegli. Jak przez mgłę majaczyły rogatywki z orzełkami, amaranty i żółć naszej kawalerii, proporce sztandarowe. Potem czarne, jadowicie zielone, brązowe. Okrągłe, sterczące sztywno czapki z butnym, lakierowanym daszkiem, srebrne wężyki błyskawic, trupie główki, swastyki na krwistej czerwieni. Jeszcze mundury egzotyczne jak z powieści o wyprawie Napoleona do Moskwy. Papachy, malinowe lampasy na granatowych spodniach, krzywe szable, buty marszczone w harmonijkę, kudłate koniki. To Kozacy. Były także legiony turkmeńskie, tatarskie – nosili znak półksiężyca na zielonym tle. To ci, co poszli z Niemcami, spodziewając się w tym szansy na oswobodzenie z niewoli sowieckiej. A potem ogarnęła nas lawina burch szyneli, czapek uszatek ozdobionych czerwoną gwiazdą. Pokazało się nowe polskie wojsko, pozostały rogatywki, ale orzeł już bez korony, stracił królewski majestat, zwykły ptak, gołąb, jastrząb.

Napatrzyliśmy się. Był w naszych oczach wyrazisty obraz konspiratorów z lat okupacji. Też mieli uniformy i bryczesy z ciemnozielonego sukna, oficerki, marynarki kroju sportowo-wojskowego, płaszcze z podniesionym kołnierzem. Młodzieńcy w zdobycznych panterkach, z biało-czerwonymi opaskami na rękawach – to ci z Powstania. Nasi starsi bracia. Były stare, pożółkłe fotografie schowane na sam spód szuflady lub kufra na strychu. Legioniści z Pierwszej Kadrowej w austriackich mundurach, Dziadek w maciejówce, szwoleżerowie w paradnych strojach. Dzwoniły nam w uszach ich ostrogi. To nasi ojcowie, stryjowie. Wkraczaliśmy w czas dojrzewania. Otaczało nas miasto cmentarne, ale kipiące życiem. Ludzie wracali z wojennej tułaczki. Ze Wschodu i Zachodu. Wciąż motyw mundurów. Ci od Andersa, czarne berety ze wstążkami, piaskowe battle-dressy z naszywką Poland. Ci z Oświęcimia w pasiakach przypominających piżamy.

Czas, który nastał, nazywał się wyzwoleniem. Różnie o tym mówiono. Nawet nazywano następną niewolą. My, chłopcy, nie wyznawaliśmy się na tych komplikacjach. Wolność i niewola powtarzały się w różnych odmianach codziennie. Starzy niewolili młodych. Młodzi dzielili się między sobą i jedni drugich pragnęli uzależnić. Uciekając od wszelkich postaci niewoli, ciągnęliśmy do tego dziwnego, niepojętego Miasta, które zmartwychwstawało po zniszczeniu. Szczególnie w jego zakazane rewiry knajp, melin, handlowych mateczników, gdzie życie pokazywało się naszym głodnym oczom najostrzej. Byliśmy zgrają młodych wilków uczących się poruszać w labiryncie krętych ścieżek nieznanego obszaru. Ludzie przyciągali najbardziej. Najstarsi, przechowujący pieczołowicie utracone dwudziestolecie. Młodszy z leśnych oddziałów, naznaczeni niedawnym doświadczeniem walki, niektórzy mieli coś z zagończyków, echo Dzikich Pól i Sienkiewicza. Katastrofiści, co w hulankach i alkoholu topili koniec świata. Przybysze z łagrów i lagrów. Optymiści i pesymiści. Romantycy i cynicy. Gorąca wiara i brak jakiegokolwiek wiary. To wszystko bombardowało nasze głowy. Jedni mówili o białym koniu Andersa i III światowej. Inni o reakcji, która strzela zza węgła, i zwycięskim sojuszu robotniczo-chłopskim. Białe niedźwiedzie i zapluty karzeł reakcji. Smaki i zapachy. Ruska tuszonka i plum pudding z unrowskiej puszkii. Tytoń kręcony w gazecie, nasze munsztukowe lub gilzowe nabijane maszynką i wonne morrissy, lucky striki i camele. Przedmioty od sasa i lasa. Harcerska lilijka i kotwica Polski Walczącej. Virtuti Militari i medal „za *pobiedę*” czy Krzyż Grunwaldu. Jedni śpiewali *Katiuszę*, inni *Marsz Mokotowa*. Jeszcze inni pieśń ruskich urków *Murkę*, inni naszą *Czarną Mańkę*. Hymn chłopców od „Bohuna” z Gór Świętokrzyskich zderzał się z *Oką* kościuszkowców.

Czarny, tak go nazywano, był z Urzędu Bezpieczeństwa, nosił jak czekista skórzaną kurtkę i odsłaniał nagana w parcianej kaburze. Fanatycy nowej wiary. Ludzie bez żadnej wiary. Męty na wierzchu wysokiej fali i tacy, których ta fala zalewała.

Nadal trwał czynny opór. Kuzyn matki w stołowym pokoju. Ubiera się, wypada mu spluwa z kieszeni spodni. Tak pięknie sinawo błysnęła w półmroku zimowego poranka. Wywlekano ludzi z domów o świcie, wpychano do bud. Mówiło się: Zabrali na Koszykową. Na Toledo. Na Gęsiówkę. Do Mokotowa. Piliśmy pierwszy bimber i monopolową w sodowiarniach. Podchodził nocą jak wąż natarczywy erotyzm i pragnienie Julii. Graliśmy naszkolnych ławkach w cymbergaja, posługując się aluminiowymi grzebieniami i pieniążkami. Tłoczyły się w naszych głowach różne języki z wieży Babel. Złodziejska kmina i nowomowa propagandy. Literacka polszczyzna i gadki ulicy. Jedni nienawidzili. Drudzy wielbili.

Jest to fragment *Dziennika podróży w przeszłość* M. Nowakowskiego